

ANALIZA SKONKLUDOWANA I NIESKONKLUDOWANA – BYCIE PSYCHOANALITYKA DZISIAJ

Jest to pisemna wersja odczytu wygłoszonego z okazji założenia SGPL – Sinthome Grupa Psychoanalizy Lacanowskiej.

Najpewniej dla wielu tytuł tego mego „napisanego” wydaje się znajomy. To nawiązanie do eseju Freuda „Analiza skończona i nieskończona”¹, choć wydaje się, że byłoby interesujące przetłumaczyć to jako analiza skończona i nieograniczona. Freud pisał swój esej pod koniec życia, gdy wiedział już, że umrze, więcej, gdy wiedział, że sam o tym zdecyduje. I oto w takich okolicznościach decyduje się na napisanie eseju-manifestu, tekstu o granicach psychoanalizy, o tym, co analityczne jest i o tym, co analityczne być nie może.

Co przeto analityczne jest? Czemu zadawać to pytanie? Wtedy już analiza właściwie podbiła świat, stała się specjalnością bez mała medyczną, zrównaną z psychiatrią. W takich okolicznościach granice analizy były granicami oddzielającymi zdrowie od choroby, normalne od nienormalnego. Cel analizy, jak i jej etyka, był tożsamy z medycznym paradygmatem.

W tych to okolicznościach pada głos Freuda, jeden z ostatnich w jego życiu. Granice analizy mają wyznaczać jej suwerenny status, zatem inny od paradygmatu medycznego. Analiza jest inna od psychiatrii zdaje się przestrzegać Freud. Czym zatem jest jej inność? Jest inność ta wyznaczona jej końcem, to nieuchronne. Granice analizy wyznaczone są jej końcem, innym od ukończenia medycyny i od wyleczalności analizantów. Swoistość tego końca – o to woła Freud, tego się domaga. Niech psychoanaliza nie identyfikuje się z medycyną, a co więcej, z psychologią.

Tak oto kwestia końca analizy stała się probierzem jej swoistości. Tak jak koniec studiów medycznych wyłania lekarzy, a psychologicznych psychologów, tak koniec analizy winien wyłaniać analityków. Oczywiście, wielu kończy studia i nie zostaje lekarzami i wielu kończy analizę i nie staje się analitykami. Fakt ukończenia analizy niczego jeszcze nie określa, gdy chodzi o pozycję analityka. Jej koniec musi być podparty konkluzją, że się zostało analitykiem. Czy bycie analitykiem ma różnić się od bycia nieanalitycznego, od ukończenia analizy, ale jej nieskonkludowania? Lub inaczej, jak różni się, dajmy na to, mój superwizor od Zizka? Obaj skończyli analizę, ale jeden stał się analitykiem, a drugi kimś innym, filozofem polityki, który skończył analizę. Różni ich praktyka. Czemu zatem jeden stał się praktykiem analizy, a drugi nie? Czy można powiedzieć, że wolna wola o tym decydowała i już?

Tym jest problematyka, o której tu piszę. No dobrze, więc spytam inaczej: co zmienia istnienie psychoanalizy?

*

¹ Analiza skończona i nieskończona; w Z.Freud: Technika terapii, Dzieła, tom IX; KR, Warszawa, 2007

W tym szalonym świecie, w którym coraz bardziej przychodzi nam żyć, pytanie to nabiera niebywalej wagi. Utylitaryzm przenikający dyskurs aktualnie obowiązujący, sprowadzanie związków między ludźmi do powszechnej wymiany towarowej, prowadzi prawie bez wyjątku do pytania zadawanego analitykom i analizantom: „ale co ty z tego masz?”, „co to ci daje?”.

Weźmy dla ilustracji homeopatię i ...powstrzymajmy się na chwilę od zgryźliwości, ... modlitwę. W przypadku tej pierwszej, coś niebywale rozrzedzonego uważane jest za czynnik leczniczy. Gdy laboratoria w uczelniach medycznych zaczęły badać, czym jest ten czynnik leczniczy, to okazało się, że jego w ogóle nie ma, fizycznie nie ma. Zaczęto więc głosić, że to oszustwo, żerowanie na naiwności i wierze chorych.

Od zawsze mówiono i pisano, że można modlitwą osiągnąć to czy owo. Laboratoria medyczne zajęły się i tym. I co stwierdzono? Że nie zaobserwowano żadnych efektów leczniczych. Szarlatani homeopatii i szarlatani modlitwy nie dają ludziom nic, stwierdzają w konsekwencji naukowcy, lub lepiej, wciskają ludziom kit. Mówią to wszystko wbrew świadectwom pacjentów.

„Sama woda”, jak nazywają miksturę homeopatyczną naukowcy oraz żarliwość proszących przez modlitwę, zostaje pominięta i poniżona, a poddający się temu ludzie okrzyknięci sekciarzami. Czyż psychoanalityków nie spotyka to samo? Przecież słowo jest tym, co dajemy, tylko słowo, coś bez wartości użytkowej.

Tak sprawa wygląda dziś, chociaż to dziś było już obecne przynajmniej przed 14 lipca 1953 roku. W swym liście z tego akurat dnia, pisanym do swego analityka, Lacan napisał – podaję we własnym, swobodnym epistolarnym stylu, w jakim to przetłumaczyłem: „Strony mego listu nie są pisane by ci coś wyjaśnić w znanej ci sprawie, ale po to, by dać ci w możliwie otwarty sposób, na jaki pozwala nasza wyjątkowa relacja, żywe świadectwo, bez którego historia ta nie mogłaby być w ogóle napisana. W sprawach ludzi tyjących, żaden obiektywizm nie może być dostępny bez podstaw subiektywnych, odnajdywanych w podmiocie.”²

„Żywe świadectwo” – to pojęcie, które teraz poddam refleksji. Koniec analizy – czy można go pozostawić poza obiektywizacją? Przypomnijmy dla wyłuskania istoty sprawy, że psychoanalityk Lacana, nie byle kto tylko wybitny analityk, miał do końca swego życia głębokie przekonanie, że psychoanaliza tego „bufona”, „kobieciarza”, „ekscentryka”, „niereformowalnego psychopaty”, że użyję tylko kilku stwierdzeń z jego opinii kierowanej do komitetu członkowskiego Psychoanalitycznego Stowarzyszenia Francuskiego, nic nie dała i nie zrobił on w swej analizie żadnych postępów. W swej opinii prosił dalej o nie przyznawanie Lacanowi rangi członka, powiedzielibyśmy, zwyczajnego. Ostrzegął, że spowoduje on scysję i rozłamy, bo jest indywidualistą nad indywidualistami, nie podporządkowującym się nikomu. Cokolwiek by nie myśleć, Loewenstein się nie mylił – trafił w swej opinii w dziesiątkę. A jednak?

Jego analizant wkrótce dowiedział, że analityk się nie mylił. Bo choć dokonywał większych czy mniejszych rozłamów, to...No właśnie, czy indywidualizm nie dający się nigdzie wpasować jest dowodem na nieskuteczność analizy? Niezależnie od tego, dlaczego komitet nie posłuchał opinii analityka i nadał rangę Lacanowi, to koniec końców wyszło analizie na dobre.

Przykład ten każe z całą mocą powrócić do kwestii przyszłości psychoanalizy. Czy ukończenie analizy można skonkludować czymś obiektywnym? Czy obiektywność jest osiągalna i czy może być jedyną rozsądną jej granicą? Jakkolwiek subiektywna ocena

² W oryginale czytamy: „Ces pages n'ont pas été écrites pour contribuer à ce dossier – mais pour vous donner sur le ton libre que nous permet notre relation particulière, le témoignage vécu sans lequel l'histoire ne saurait être écrite. Aucune objectivité ne saurait être atteinte en matière humaine sans ce fondement subjectif”. List ten ukazał się w „La scission de 1953” (Supplément à *Ornicar?*) 1976, nr.7 str.120-135; fragment ten umieszczony jest na stronie 132.

analitka okazała się być prawdziwa, to była kompletnie nie wystarczająca, by przesądzać o tym, czy osiągnęła punkt graniczny zwany ukończeniem analizy. Analizant nie zrobił żadnych postępów, pozostał bufonem, kobieciarzem i ekscentrykiem, nieznośnym bytem. I tylko drobniaczek, psychoanaliza poprzez niego zrobiła niebyle jaki postęp.

Ten to punkt różni zwykłego analizanta od analityka-analizanta. Pozwólcie w tym miejscu na pewną hipotezę: analityk był rozczarowany tym, że jego analizant nie zmienił nic w swojej czy ze swoją indywidualnością; czy aż tak mu przeszkadzała? Czy aby wielki analizant wielkiego analityka nie tłumaczył swym „żywym świadectwem” dlaczego był nieanalizowalnym przypadkiem? Starał się mu pokazać, że nieanalizowalność przypadku jest wynikiem relacji mistrzowskiej, takiej relacji, w której samo pojęcie „analizowalności” zaczyna się i kończy w umyśle analityka pierwszej generacji? Analiza taka jaką była, była za ciasna, skrojona na miarę mistrzów, ale nie na miarę kogoś takiego jak Lacan. Ustanawiało to pytanie, jak analiza ma analizować przypadki takie jak Lacan i on to starał się na to pytanie odpowiedzieć. Do czego zatem potrzebna jest analiza, co daje?

*

„W sprawach ludzi tyjących, żaden obiektywizm nie może być dostępny bez podstaw subiektywnych”, że przypomnę cytat. Czy oznacza to aporię? Czy stawianie analityka w pozycji rozstrzygającego, formułującego opinię o analizie jego analizanta, jest „żywym świadectwem” tego, co daje analiza? Czy ktoś okulały ma przestać być kulawym, by dawało to świadectwo końca analizy, a tak przy okazji świadectwo jej sukcesu? Czy analiza zajmująca się kulawością sama nie jest kulawa? Czy obiektywność jej końca mierzyć się ma obiektywnością jej jednostkowych osiągnięć? Obiektywność przez obiektywne traktować?

„W sprawach ludzi tyjących” to klucz do odpowiedzi na te pytania. Analizant to ktoś, kto pojawia się, by rzec „to, co mnie dotyczy to...”. Co jest tym, co go dotyczy, jeśli nie prawda? Prawda, na której poszukiwanie jest zapraszany swym przekreśleniem i zachętą analityka?

Prawda, łatwo powiedzieć. „Jam jest prawdą” słyzy Piłat wychowany na Arystotelesie z jego adekwatnością między prawdą, a jej przedmiotem. „Jam jest prawdą” współbrzmi z „Oto człowiek” – prawdą, która się odsłania. Z zaskoczeniem, z zawstydzeniem, z niedowierzaniem. Już samo to pokazuje, że nie wolno tej prawdy utożsamiać z tajemnicą czy osobistym sekretem. Te zostawmy spowiedzi.

Prawda odnajdywana, oto sekret analizy. Nie jest nią seksualna zabawa z kuzynką w wieku 5 lat, ani zagładanie pod spódnicę pani w przedszkolu. Zostawmy te prawdy ekscytacjom spowiedników i plotkarzy. To intymności ludzkie i jak to z intymnościami bywa przykryte masą pozorów. To prawda wyznań, których pełno w analizie, jedyna prawda spowiedzi, prawda spotkań przyjaciół. To prawda dyskrecji, intymności zamkniętej w ciasnym kręgu, w zamkniętych gronach, prawda sugerująca, że człowiek ma głębię, bo ma tajemnicę wielką do wyjawienia tylko wtajemniczonym, obdarzonym mitycznym zaufaniem. Taka prawda zwierzeń ludzka, że jesteśmy w sercu spraw ludzkich.

„Wie pan, że codziennie się onanizuję?”, „Ale dałam plamę, wychlałam wczoraj i się puściłam”, „gdy zaczynałem pracować, ach co tam będę mówił...” To ten rodzaj prawd najzwyklejszych, powszechnych, jakby wziętych ze spisu grzechów i grzeszków. Prawd, do których stosunek analityka jest stosunkiem zwykłego zjadacza chleba do chleba powszedniego: „No i..?”, „za wielka nowina to to nie jest”, „jeśli tego chcesz, to ci odpuszczam”. No bo, czego świadectwem miałyby być te wyznania? Że wszyscy grzeszymy? Że najbardziej ludzkie, to najbardziej grzeszne jednocześnie? Że nie wychodzi nam bycie wyjątkowymi? Prawda wyznań, to prawda rzeczy zwykłych podawanych jako niezwykle – tak bardzo chcemy być niezwykle. „Mówię to panu w tajemnicy, mogę liczyć na dyskrecję?”

Ale co zatrzymać w tajemnicy? Niezwykłość codziennego onanizmu, czy pozór niezwykłości najzwyklejszego ze zwykłych człowieka? Analityczny użytek tych mało solidnych prawd zawiera w sobie dyskrecję nie tylko dlatego, że każdy ma prawo do swych małych prawd, ale także dlatego, że nie warte są one rozgłosu.

„W sprawach ludzi tyczących” – ale co to za sprawy? Są sprawy, które ukrywa podmiot. Za mnóstwem pozorów jak w rupieciarni kryje się coś, co podmiot skrzętnie chowa. To tradycyjnie pojmowana intymność – podmiot zaangażowany w ukrycie przed Innym tego siebie, który nie chce uchodzić za płaskiego, pozbawionego głębi, za byt bez tajemnic. Ponieważ jednak jest sam jeden, nawet jeśli wśród wielu, zmuszony jest zrobić coś z tą różnicą odróżniającą go od Innego. Pokazuje, że jest inny niż Inny. Swe sekrety, które traktuje jako swoje, choć w zasadzie są one dzielone przez innych, podnosi do rangi cnoty. Nadając im szczególnie intymny wymiar, wyposażając przez przykrywanie masą pozorów w głębie, tylko w analizie jest w stanie zobaczyć, że jego tajemnice już dawno temu istniały. Czymże takim jest seksualność dziecięca, jeśli miał ją już jego pradziad? A niechęć, nawet wroga niechęć, do rodziców? Zdaje się mu być tylko jego, a jest tekstem istniejącym od początku świata ludzkiego. Podmiot jest różny od innych i to stanowi problem w świecie relacji międzyludzkich – nasz, ale jakby nie nasz on jest. Czy takie doświadczenie, doświadczenie własnej, z-zewnątrz-intymności, eks-tymności, może zostać zobiektywizowane, a więc przedstawione od zewnątrz, a nie od wewnątrz? I czym miałyby się ono różnić od doświadczeń innych?

*

Gdy Lacan zaproponował pass jako drogę obiektywizacji pewnego doświadczenia analitycznego, wzbudził w świecie analityków ogromne emocje. W gruncie rzeczy punktem identyfikacji w ich społeczności był fakt, właściwie deklarowany, ukończenia analizy. Wchodzisz do sali pełnej analityków, ty, który sam analizę ukończyłeś i wiesz, że wszyscy oni w swej analizie zajmowali się swoją dziecięcą seksualnością i, jak to dowcipnie w swym wystąpieniu ktoś powiedział, dociekaniem przyczyn tego, dlaczego nie byli oni jako dzieci bez reszty pragnieni. Czy to jednak uczyniło ich analitykami?

Harmider jaki podniósł się wraz z propozycją zainstalowania pass, rozumianego wtedy jako procedura odintymniania, przejścia od in-tymnego do eks-tymnego tego, co osobiste, wyglądał raczej, i podzielę się tutaj swą refleksją, na obawę, chwilami przechodzącą w panikę, związaną z kwestią, co czyni analityka analitykiem. Rewersem tego pytania jest inne, bardziej osobiste niż „osobiste”, czy jestem analitykiem?

W jaki sposób moje doświadczenie w analizie różni mnie od doświadczenia zwykłego analizanta, który też omawiał kwestię swej dziecięcej seksualności i niepewnych relacji z rodzicami, problemy relacji z najbliższymi, zdrady i kłamstwa, uniki i przeinaczenia? Przez lata całe o różnicy stanowiło to, że analityk był psychiatrą. I to wystarczało za przepustkę, a więc i za pass, do grupy psychoanalityków. Potem dołożono do tego jeszcze nazwisko analityka. To tak, jakby powiedzenie „miałem analizę u Pawłaka, proszę mnie dobrze zrozumieć, u Pawłaka, nie u Pawlika” robiło za przepustkę okazywaną u wejścia do auli z napisem „Zgromadzenie Analityków”. Na samym końcu wystandaryzowano procedurę zwaną analizą, dopisano do jej przebiegu dwa formalizmy – minimum 4 razy w tygodniu i ponad 600 sesji, no i stworzono analityka na kształt wzorca, analityka bez jakiegokolwiek idiosynkrazji.

By zilustrować zagadnienie pozwólcie, że posłużę się przykładem. Któregoś dnia pewien mój analizant zdradził się ze swym sekretem: myśli intensywnie o tym, czy mógłby zostać analitykiem. Co oznacza wszelako ta wątpliwość – czy mógłbym zostać analitykiem?

Już sama forma denegacji w jakiej stawiana jest ta kwestia, każe upatrywać w tym obecność solidnego pragnienia. Zawstydzająca obecność przedmiotu tego pragnienia, jego powodu, skłania podmiot do chęci pozbycia się go, ulokowania w Innym. Tylko po to zresztą, by on radząc sobie z zawstydzającym go efektem („ależ oczywiście synku, że tak”), upewnić podmiot o prawomocności jego pragnienia. Pragnienie, które zawstydza – to z pewnością coś innego niż sekrety życia osobistego, tak skrzętnie chronione przez podmiot pod sterą badziewia.

Psychoanaliza w swym dociekaniu prawd o człowieku ujawnia jeden zdumiewający fakt – istnienie prawdy nie mogącej się wyrazić w pełni, artykułującej się choć nieartykułowanej, w-pół-powiedzianej, którą tak rewelacyjnie Lacan nazwał „siostrą jouissance”³, oczywiście siostrą tylko dlatego, że to rzeczownik w rodzaju żeńskim. Czy zatem, my analitycy, źle sądzymy nazywając „prawdę, która zawstydza” „siostrą jouissance”? „Czy mógłbym zostać...?” nie sprowadza się do „czy mógłbym być?”? Oto „mógłbym” zawstydza „być” nie pozwalając sprawom toczyć się własnym nurtem, tylko czeka na zgodę na „bycie”. Widzimy więc, że „bycie”, które niespodziewanie się odsłoniło, nie jest „byciem” ukrywanym szczelnie przed Innym jak w przypadku sekretu. To nie jest „bycie” intymne, drugie życie jak mawiają ludzie odkrywając jego istnienie pod zwałem codzienności, gdy mają okazję zapoznać się z pamiętnikiem, diariuszem życia, jakby przypadkiem odnalezionym w lamusie domowym. To „bycie” inne i dlatego Lacan określa je neologizmem „eks-tymność”.

Jest prawda wyznań zakładająca istnienie podmiotu ukrywającego, podmiotu z punktu widzenia psychoanalizy mało ciekawego, podobnego do nas wszystkich, a różniącego się tylko swą intymnością od innych ze swymi intymnościami. I jest prawda z zamyślań się biorąca, z dumań nad tym, co przez chwilę odsłoniło się podmiotowi. I intymne i ekstymne jest równie głęboko ukryte; pierwsze jest artykułowane, drugie nieartykułowane. Pierwsze jest „drugim życiem” („on prowadzi drugie życie” słyszymy regularnie na kozetce), drugie innym życiem, „byciem, którego się pragnie”, „manque-à-être”, a więc „byciem”, które się pragnie, a nie byciem, które się ma.

Moje, czy wasze eks-tymne, nie jest wyższej rangi intymnością. Ono nie jest artykułowane przez podmiot z powodu swej nieartykułowości, ale artykułuje się samo przez się. Jest na powierzchni, łatwo dostrzegalne przez innych i nie dostrzegalne przeze mnie. Jest „parchem w pełnym słońcu na wczasach”⁴ jak zgrabnie ujął to Lacan.

I tu to, gdzie parch daje się nam we znaki, gryząc, paląc, swędząc, uwierając; gdzie czynimy ruchy próbujące zapobiec jego istnieniu, ukryć jego działanie, przebrać za coś, co pozwoli nam być niewidzialnymi, to tu jesteśmy we własnym domu. Dla Freuda dom ten ma swą nazwę, „oznaki rzeczywistości”⁵ jak pisze, nie rzeczywistości przed nami, przed naszymi oczami, ale rzeczywistości za nami, tej odpychanej na margines, na tle której stajemy się widoczni.

Jest ta widziana rzeczywistość rażąco odmienna od tej, jaką staramy się przedstawiać innym. O mnie z łatwością ci, co dostrzegają margines, powiedzą to i owo stawiając diagnozę. Oto niedawno usłyszałem milutki głos znanej prezenterko-dziennikarki wyjątkowo przejętej aferą hazardową. Ta pani szeroko otworzyła oczy i rzekła w te oto słowa: „to obrzydliwe, przecież co mieliby do zrobienia agencji CBA, gdyby trafili na uczciwego człowieka?” Odpowiem w tym miejscu za osobę indagowaną w tym wywiadzie: „to proste, uczynienie z niego człowieka nieuczciwego”. Na tym przykładzie widać najwyraźniej czym są „oznaki rzeczywistości”, do których przyszpilony jest ten podmiot. Otóż, ja słyszę, podobnie jak i wy tutaj cytujący zacytowane przeze mnie słowa, naiwność tego podmiotu

³ Lacan: Le séminaire, live XVII: L'envers de la psychanalyse, str.76.

⁴ Op.cit.

⁵ To określenie z Entwurf się wywodzi.

próbującego przekonać siebie, że ma tajną broń przeciwko „Romeo”, na tyle widoczną, iż odstrasza ona, nawet jego, przed zbliżeniem się do niej. Cóż, to tylko falliczność kobieca, w tym wypadku wołająca do wszystkich wokół – „ja jestem uczciwa, niewinna, strzeżcie się wy, którzy chcielibyście ode mnie tego, co „Romeo” za 150000zł dostał od ex-posłanki Sawickiej”. Tak więc to, co my tutaj z łatwością chwytny jako naiwność, pani ta ujmuje jako uczciwość. Z tym, że podejrzenie zbyt usilnie stara się ona przekonać o tym świat.

Jeśli prawda jest solidna, jak utrzymuje Lacan, to jest do uchwycenia z różnych stron. Zarówno od strony nam pokazywanej, uczciwość, prostolinijność, jak w cytowanym przykładzie, jak i ukrywanej nieskutecznie ze względu na jej artykułowanie się wbrew wszystkim mocom samego bytu mówiącego (naiwność i dziewczęca niewiedza). Tu dotykamy tego ważkiego rozróżnienia pomiędzy prawdą sekretu, prawdą wyznania, prawdą czegoś zrealizowanego, a prawdą odsłaniającą się, prawdą cienia czegoś, prawdą niezrealizowanego. Jest to niezrealizowane w podmiocie i przez podmiot – jak romans z Romeo, pragnienie tegoż.

Przeto odróżnijmy analityczny użytek prawdy, czyli interpretację na przykład, jako działanie analityka, od innego używania prawdy, używania przez sam podmiot, czyli zaświadczenia o niej.

„Żywe świadectwo” – tak określa to Lacan, to nie relacja z tego, co analizant mozolnie odkrywa w trakcie analizy, kawałek po kawałeczku, jako coś, co nie pozostaje w zgodzie z przekonaniem na swój temat. To raczej ten fragment prawdy, który ma związek tylko z tym, czym się jest (w przypadku analizy nieskonkludowanej), lub lepiej, czym się było dla Innego (w przypadku analizy skonkludowanej). W przypadku rozważanej wypowiedzi dziennikarki wyglądałoby to tak: człowiek uczciwy to człowiek przyzwoity; w przypadku kobiety to wymóg radykalniejszy niż w przypadku mężczyzny; jeśli jesteś przyzwoita podobasz się Innemu (np. tatusiowi), bo nie dasz się uwieść żadnemu Romeo.

Łatwo dostrzec zatem, że jeśli nie wiesz czym jesteś dla Innego, to nie jesteś lub nie byłeś w analizie. Jeśli wiesz czym jesteś dla Innego, to wiesz coś o swym pragnieniu; możesz albo trwać w tym, uznając jouissance Innego za swoje, albo chcieć skończyć z tym (co najczęściej jest powodem pojawienia się na analizie) – twoja analiza jest nieskonkludowana. Jeśli wiesz czym byłeś dla Innego, jesteś czymś dla siebie lub coś jest czymś, z czego się bierzesz – twoja analiza jest skonkludowana.

„Żaden obiektywizm” – pozwolicie, że będę cytował dalej list Lacana; strach przed obiektywizmem to rzucająca się w oczy cecha pięknoduchostwa, zwolenników czczenia subiektywizmu bez granic, głębokości bez dna, wartości nie wykradzionych od Innego, piewców bytu jako najcudowniejszego z cudów, wyznawców wiary, że bierzemy się jako byty ludzkie z tchnienia tajemnego, że jesteśmy dziećmi bożymi, albo jak mówi się w tym miejscu na ziemi: że „jesteśmy w czepku urodzeni”. Subiektywizm miałby pozostać subiektywizmem w imię wyjątkowości jego nosiciela. Więc co, ma się strzec subiektywności jak ducha? Czy psychoanalitycy mają iść drogą teologii powołań głoszącej niewyraźność, nieprzekazywalność „tajemnicy powołania”? Spytajcie się zakonnika czy księdza: „czym było twoje powołanie?”, a usłyszycie: „to tajemnica, tego się nie daje przekazać, tego nie daje się opowiedzieć”. Aliści, czy istnieje świadectwo takiego doświadczenia, pozwolicie że nazwę to „powołaniem do bycia analitykiem”?

Oczywiście, są zasadnicze różnice między powołaniem do kapłaństwa, a „powołaniem” do bycia analitykiem. Psychoanalitykiem jest ten, kto odnajduje psychoanalizę jako swą drogę na końcu pewnego procesu, który sam zaczął, najpierw rozpoczynając swą analizę, potem poddając się pragnieniu. Posługując się metaforą „powołania” powiem, że powołanie się odnajduje, jak w psychoanalizie, lub ono odnajduje kogoś, jak w kapłaństwie. Jasne, że znajdą się tacy, co powiedzą, że to nie różnica, tylko inna perspektywa. Przecież powołanie do kapłaństwa zawiera w sobie jakiś przełom, porzucenie jednej drogi na rzecz

innej – a tak samo jest z psychoanalizą. Jasne, jasne, że tak, przytaknąłbym z aprobatą, ale... no właśnie, zastanawiam się nad statusem takiego powołania. Czy wyczerpuje się ono w samej deklaratywności?

„Nie może być dostępny bez podstaw subiektywnych” cytuję dalej list Lacana – mowa, ma się rozumieć, obiektywizm. Psychoanaliza proponuje coś jawiącego się jako ryzykowne, ruch od subiektywnego do obiektywnego, miejsce obiektywizacji podmiotowego powołania nazwanego 14 lat później „pass”, przejściem, a może lepiej przeprawą. Daj świadectwo punktu, a może granicy, po przekroczeniu której twoje związki z psychoanalizą stają się nieodwołalne i wszechwyczerpujące alternatywność innych dróg – to ma na myśli, jak sądzę, Lacan, gdy porównuje drogę psychoanalizy z drogą świętego.

Gdy przychodzisz do gabinetu psychoanalizy, pojawiaasz się tam z podstawą w subiektywności albo z problemami obiektywnymi, których podstawę subiektywną najpierw należy odszukać. Bywa, że kończysz tę przygodę stając się analitykiem, bo innej drogi przed tobą nie ma. Niby normalne to, więc w czym problem?

W punkcie przełomu tak przepięknie zaśpiewanym przez Marilyn Monroe: „river of no return”, gdy gaśnie „river” na rzecz jak echo powtarzanego „no return, no return”, gdzie coś oddzieliło się od „river” zostawiając nas sam na sam z „no return”. Przekazać doświadczenie udania się w podróż rzeką, gdy na serio bierze się jej nazwę, ten znaczący „bez powrotu”, doświadczenie przekraczania punktu odróżniającego turystę od wędrowca. Pierwszy wyrusza w drogę, ale wie, że wróci do miejsca, z którego wyruszył. Drugi rusza w drogę wiedząc, że nie wróci już do miejsca, z którego wyruszył. „Miłość jest samotnym żeglarzem rzeką bez powrotu”, tak dokończę ten akapit słowami tej piosenki.

„Żywe świadectwo”, o którym staram się mówić, jest relacją podmiotu o swym związku z prawdą, przeorganizowanym z wyjściowego łańcucha znaczących w łańcuch, w którym cząstka nie-wiedzy włączona jest w obramowanie wiedzy⁶. Świadectwo przeto nie polega na tym, by mówić wszystko; suponuje to tylko, by mówić to, co jest konieczne, wszystko co konieczne.

Jasne jest więc, że chodzi w nim o nową formę wiedzy, nową wersję związku podmiotu z jego wyobrażeniowymi duchami, jak i bliźniami. Wersję wzbogaconą o jeden element, obcy, ale wspólny z dotychczasowymi. Gdy ruszam w samotną podróż „rzeką bez powrotu”, porzucam Innego, który oprzyrządził i oprowiantował miejsce, które opuszczam. Ruszam w drogę, bo gdzieś element nie-wiedzianego w nim spotkany, rozczarował mnie do niego – przecież okazuje się, że nie byłem bezgranicznie pragniony, że Inny jest tak samo przekreślony jak ja, a przekreślenie to ujawnia mi okrucieństwo nie-sensu, tego: „nie byłem sednem jego pragnienia” – to po co jestem tu, gdzie jestem? Ten, kto rusza w drogę, analityk, staje się w ten sposób gwarantem tego, że miejsce Innego jest przekreślone, grób Innego okazuje się pusty. Pozostaje tylko znaczący tego braku, znaczący zatrzymywany i dźwigany przez analityka, element z zewnątrz umożliwiający ustanowienie granic systemu znaczących. Analityk staje się tragarzem tradycji będąc „poza nią”. Tego w gruncie rzeczy dotyczy intymne analitycznie doświadczenie pass, przeprawy. Tylko z zewnątrz będąc pragnie się Innego i zaświadcza o związku z Innym, który nie istnieje, i do którego to zostaje analityk zredukowany przez wyposzczenie bycia (desêtre), do pustyni bycia. A na pustyni jak to na pustyni – nic, tylko się pragnie i pragnie się nic.

To wydobycie wiedzy z całego toku traktowania podmiotu przez psychoanalizę, z braku lepszego słowa nazywane raczej nieszczęśliwie kuracją, ma szansę stać się wkładem w wartość psychoanalizy. Tu pojawi się „nowy znaczący” jak ujął to swoim życzeniem Lacan.

⁶ W liście propozycji o psychoanalizy Szkoły czytamy: „Wiedza, do której doszedł [analizant], może być zarysowana w tym samym stosunku, z zastrzeżeniem, według którego operuje cała logika warta tej nazwy. Nie oznacza to nic w „szczegółności”, ale wyraża się w łańcuchu liter tak ścisłych, że zakładając, iż żadna z nich nie chybi, nie-wiedziane zorganizowane jest tak, jak ramy wiedzy”; poprawione przeze mnie tłumaczenie P.Ostaszewskiej z Biuletynu Towarzystwa Psychoanalitycznego „Perspektywa Freudowska”, nr 1(2) 1996

W trzecim kroku, po wejściu w psychoanalizę, wyjściu z psychoanalizy, świadectwo z psychoanalizy ustanawia lub nie, prawdę własnego doświadczenia psychoanalizy jako punkt podparcia, chociaż dyskretny, niekiedy nawet bardzo, to jednak niezbywalny, tego, czym jest analiza⁷.

Eks-tymne w psychoanalizie jest środkiem pozwalającym zetknąć się z kwestią bycia, w tym bycia analityka, ześrodkować pragnienie w punkcie, gdzie podobne wrotom wprowadza analizanta w analityczną samotnię, gdzie będąc sam (od chwili wyruszenia w podróż bez powrotu), wkracza analizant w wyłom pozwalający z zewnątrz, a nie z wewnątrz, podejmować kluczowe zagadnienia podnoszone przez wiedzę psychoanalityczną. Nie musi utożsamiać się z pacjentem, by wiedzieć o co chodzi, i nie musi utożsamiać się ze swym analitykiem, bo jest to podróż bezpowrotna.

Ten wyłom separujący analityka od dyskursu mistrza, potoczności sądów i osądów, obowiązującej normatywności, pozorów rządzących interakcjami społecznymi, instaluje go w dyskursie analitycznym. To wyjątkowo ważne ujęcie pozycji analityka, pozwala przetrwać idei psychoanalitycznej poza nieustannymi próbami rozmycia jej we wszechobecnej psychologizacji i psychoterapeutyzacji relacji międzyludzkich, zwłaszcza dziś, gdy medykalizacja już jej nie grozi. Trzeba w tym miejscu z całą mocą podkreślić, że istnieje różnica pomiędzy dyskursem psychoanalitycznym, a dyskursem psychoanalizowania. Ten drugi opisuje składną i poprawną analizę, bez większych wpadek, ale i bez ryzyka, a na pewno bez inwencji. To dyskurs analityka wycofanego ze świata w zacisze i sekretność jego gabinetu, w „wolność Tomku w swoim domku”, analityka, który nie chce ponosić ryzyka tkwienia w wyłomie, dyskurs adeptów analizy i sprawnych zawodowców, ale bez kochania świata i ludzi, bez zadziorności wizjonerów i samotności proroków.

*

W swej historii psychoanaliza przeżyła kilka zagrożeń. Najpierw ze strony medycyny, gdy opierała się jej zakusom monopolizującym i gdy wspaniała mową obrończą w sądzie w Wiedniu Freud powstrzymał pęd do medykalizacji zawodu psychoanalityka sprawiając, że Austria była jedynym krajem przed II wojną gdzie psychologowie byli psychoanalitykami. Potem ze strony totalitaryzmu i nazizmu niemieckiego, któremu nie udało się zamknąć psychoanalizy w instytutach zdrowia publicznego, gdy okazało się, że w ciągu jednego roku opuścili Niemcy wszyscy analitycy, także aryjscy. (Czyż nie wspaniały przykład samotni analitycznej i świadectwo pragnienia freudowskiego?). Następnie ze strony nawiedzonych entuzjastów psychologii akademickiej w typie Eysencka, który chciał pograżyć analizę pod zalewem liczb otrzymywanych z badań nad skutecznością analizy, a okazało się, że żaden analityk nie zadomowił się w instytutach psychologii uchodząc z nich pod wrażeniem liczbomani. Z kolei była farmakoterapia obiecująca wyzwolenie od nerwic i psychoz przy pomocy świętych psychotropów – skutkiem tego analitycy odeszli ze szpitali. I znów, natknęli się na Lewicę i ruch postępu społecznego, który chciał wciągnąć analityków do walki o postęp i wyzwolenie ludzi z jednych okowów, by zakuć ich w następnych. Odmowa poparcia studentów przez Lacana, udziału w ogólnoswiatowej rewolucji młodych przeciwko starym, jak i prawdziwe podziemie analityczne w krajach okolośowieckich, zaświadcza o zawsze eks-tymnym charakterze analizy, o zawsze na zewnątrz, wewnątrz spraw ludzkich.

W żadnym miejscu na świecie psychoanalityk nie jest u siebie, jest sam w drodze zapoczątkowanej przez Freuda latami jego wygnania, wygnania owocnego jego wielkimi dziełami, które pisał świadom będąc próżności swych oczekiwań na tytuł profesorski. Dziś,

⁷ Op.cit: cytuję: „znane są funkcjonujące w nim organy gwarancji: są nimi początek i koniec analizy, podobnie jak w szachach. Na szczęście są one najlepszym wzorem psychoanalitycznej struktury... dochodzi do tego jeszcze to, co zajmuje trafem miejsce tego, co nazywamy spotkaniem” – poprawione przeze mnie tłumaczenie.

śmiej twierdzić, psychoanalitykom nie do twarzy z tytułami profesorskimi, nie po drodze z dyskursem akademickim.

I wreszcie współcześnie, w czasach podmiotu wprasowanego w systemy, wystandaryzowanego na ten, czy inny wzór, który łatwo rozpoznać, albowiem opisuje się go zawsze tak samo: „typowy przedstawiciel...”, „typowy wyborca partii...”, „typowe dziecko...”, „przeciętny Polak...”, „przeciętny obywatel...”. Potem można dodać, co się chce i mamy stworzony wzorzec podmiotu pewnego systemu, albo jak wolicie wyfasonowanie systematyzacji podmiotów.

Jak przynajmniej niektórzy z was wiedzą chrząszcze dzielą się na: adefagi, polifagi, archostematy i myksofagi; podobnie ze współczesnymi podmiotami. Pojawia się taki w gabinecie psychoanalitycznym i zaczyna mówić jak adefag, zabawmy się złośliwie, jak adehadefag. 65% z nich ma mikrouszkodzenia kory ruchowej mózgu, 72% ma matkę niespecjalnie nim zainteresowaną, a 88% ma ojca, dorosłego dziecka alkoholika. Taki podmiot do nas przychodzi i takie wyzwanie staje przed analitykiem. Jaki analityk może znaleźć na taki garnitur podmiotu odpowiedź?

Tylko ten, kto nie znajdzie się w systematyce podmiotów ludzkich, kto nie da się scharakteryzować jako „typowy psychoanalityk to...”.

Krzysztof Pawlak, psychoanalityk, czyli nie wiem kto zacz.